

Kochani Czytelnicy,
oto jeszcze jedna niesamowita historia.

Leon Mroczkiewicz i Tadeusz Perkitny w 1926 roku wyruszyli w podróż dookoła świata. Wzięli z sobą kilogram jabłek, słoik kiszonych ogórków, powidła śliwkowe i bochenek razowca. Co spotkało ich po drodze? Jak odmieniła ich wyprawa? Jakiej lekcji udzielił im świat?



Od czterech lat dzięki uprzejmości Biblioteki Raczyńskich oraz życzliwości rodziny Mroczkiewiczów studiuję archiwalne pamiątniki i fotografie. Pracuję nad opowieścią ***Wokół świata na wariata***.

Dziękuję się z Wami pierwszymi rozdziałami powstającej książki. Mam nadzieję, że urozmaicą Wam one choć parę chwil wspólnej kwarantanny. Będę zobowiązany za każdą uwagę i opinię.

Za ekspresową redakcję dziękuję Gosi Matysek.

Za ilustracje dziękuję Katarzynie Bajerowicz.
Maluj, Kasiu, maluj... ☺

Pozdrawiam Was ciepło!

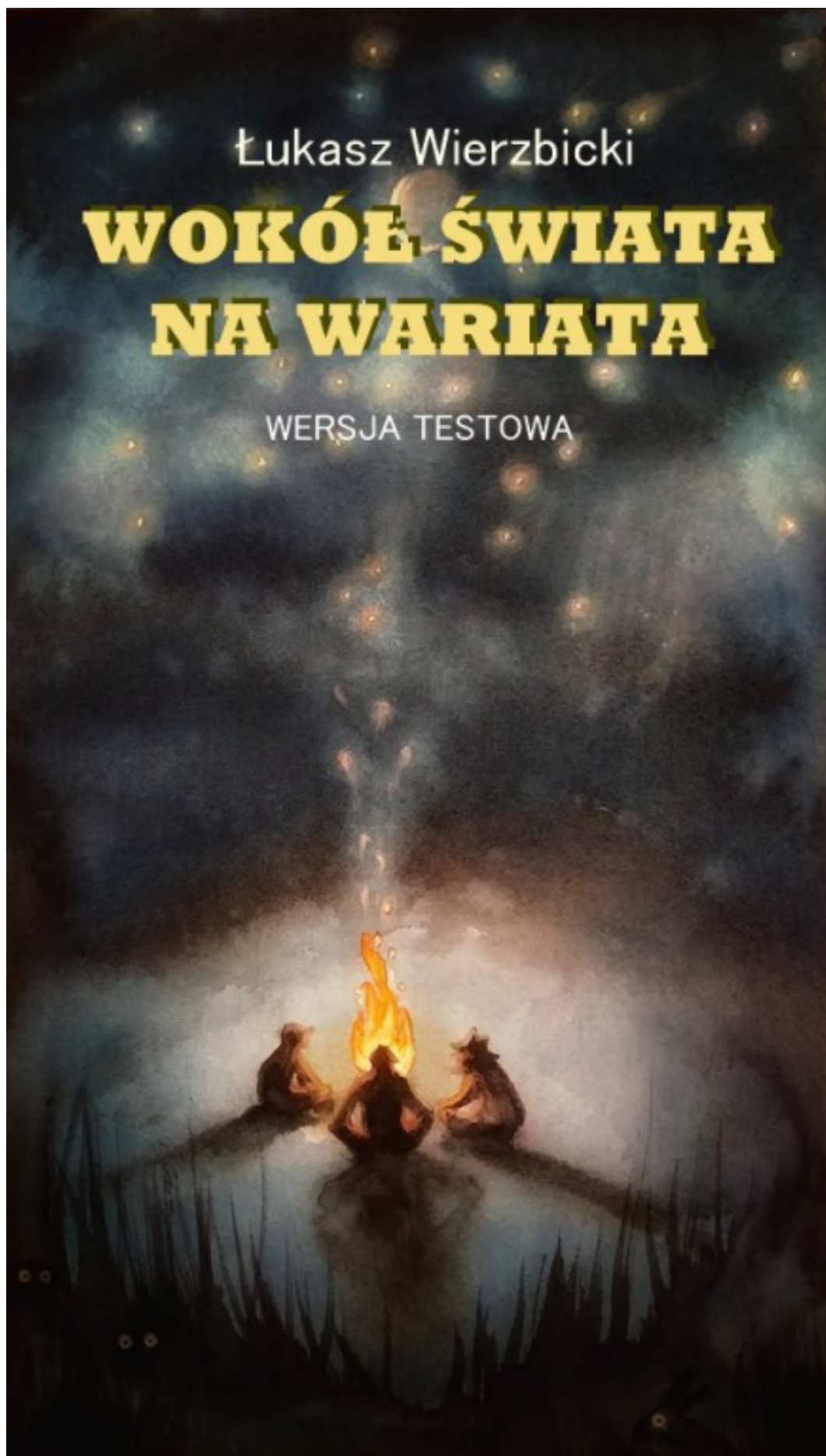
A handwritten signature in black ink, reading "Leon Mroczkiewicz". The signature is written in a cursive style.

Borówiec, 16 marca 2020 roku

Łukasz Wierzbicki

WOKÓŁ ŚWIATA NA WARIATA

WERSJA TESTOWA



*Gdy włóczęga jako starzec siwy
zasiądzie w fotelu, gdy przymknie oczy
gasnące i głowę wesprze na dłoni, to i
wtedy jeszcze gdzieś za dalekimi
mgłami błyszczą mu lazury, szumią
oceany, płyną ciche rzeki, to i wtedy
jeszcze palmy smukłe nad nim się
kołyszą i chóry świerszczy poprzez
parne noce wiodą go w krainę
wspomnień!*

(Tadeusz Perkitny, Z setką złotych naokoło świata)

Poznań, ulica Podgórna, 18 lutego 1930 roku, godziny popołudniowe

Małpa zafajdała mi koszulę. I swój frak. Jak zwykle.



A potem silnik zarzęził, pryknął i... prffff. Zdechł. Jak zwykle.

Pot zalał mi czoło. Gorączka wróciła. Umierałem.

– Pobudka, Leon!!! – wrzasnął Tadeusz.

– Jakbym spał... – odburknąłem ponuro.

Pchnąłem samochód, pośliznąłem się na oszronionym bruku, wykopyrtnąłem jak długi i wyrznąłem czołem o zderzak. Syknąłem z bólu.

Wspaniale! A zatem tak wygląda powrót bohaterów z podróży dookoła świata.

– Wstawaj, Leoś! Nie śpimy! Czekają wszyscy! Pobudka! Obracamy auto! – wydarł się znów Tadeusz.

„Zatłukę go” – pomyślałem. „Na samym końcu najnormalniej go zatłukę!”

Kim jest Tadeusz? Długo by opowiadać. Poznać go bliżej, jeśli przeczytacie kolejne rozdziały tej książki... co ja akurat stanowczo wam odradzam. Nie opisuję w niej żadnych wielkich i godnych podziwu wyczynów. Wręcz przeciwnie.

I od samego początku do samego końca wszystko szło kompletnie nie tak...

ROZDZIAŁ PIERWSZY, W KTÓRYM NIEPORADNIE POSZUKUJĘ POCZĄTKU CAŁEJ OPOWIEŚCI

„Hola, hola, miły panie” – zawołacie. – „Poznaliśmy przykry finał całej hecy... ale kto zaczyna opowieść od końca? Kim jest Tadeusz? Skąd ten uprzykrzony małpishon, który zafajdał koszulę? Skąd automobil, który pryknął i zdechl? Skąd gorączka, która zalała potem czoło?”

Wciąż waham się, czy rozpamiętywać wszystko raz jeszcze i zadreć was moją pisaniną.

Nie, żeby nie było ciekawie. Historia jest przednia, bez dwóch zdań. Może te czy inne z naszych błazeńskich postępów wzruszą was lub rozbawią. Niewykluczone.

Boję się jednak, że gdy rozczytacie się nadto, zapragniecie ruszyć w świat naszym śladem... a że nie będziecie mieli tyle co my szczęścia, mieliśmy go wszak więcej niż rozumu, wylądujecie w brzuchu wieloryba, kraterze kipiącym lawą albo napytacie sobie innej biedy.

Chcecie czytać? Proszę. Zabronić nie mogę. Czytajcie wszak na własne ryzyko. Co powiedziawszy, zacznę raz jeszcze, ale tym razem od samego początku, kiedy nie było jeszcze ani małpy, ani samochodu, o gorączce nie wspominając.



Myślę, że powinienem cofnąć się do chwili, w której przekroczyłem próg Gimnazjum Fryderyka Wilhelma i z drżącym sercem, był to wszak pierwszy dzień szkoły, a budynek dostojny i pełen powagi, usiadłem w ławce obok wyższego o głowę draba w drucianych okularach na nosie.

Zachichotał na mój widok, mrugnął okiem i... podał po kryjomu zwitek papieru.

Rozwinałem liścik. Pośród koszmarnych gryzmołów jakiś paskudny diabełek z kędzierzawą czupryną i wywalonym jęzorem wytrzeszczał na mnie ślepią. Odczytałem napis „kto zagłada, tak wygląda”. Parsknąłem śmiechem.

– Leon Mroczkiewicz! Tadeusz Perkitny! – huknął nauczyciel. – Nie błaznować mi tam! Z takim zachowaniem to wy daleko nie zajedziecie!

„...daleko nie zajedziecie... zajedziecie... jedziecie...”, poniosło się echem po szkolnym korytarzu. Wtedy właśnie, tak mi się wydaje, ja, Leon Mroczkiewicz i mój dziwaczny sąsiad ze szkolnej ławki, Tadeusz Perkitny, wyruszyliśmy w naszą wspólną podróż, o której chcę wam opowiedzieć.

Każdego następnego dnia, ku niezmierzonej rozpaczy nauczycieli, leżyły się w naszych młodych łbach pomysły tyleż genialne, co głupkowate. A to przyszliśmy na bal karnawałowy przebrani za dwa fioletowe mrówkojady. A to w trakcie koncertu szkolnej orkiestry skryci za kurtyną ryczeliśmy jak zarzynane osły. A to znów, zamiast kuć na pamięć czytanek o lesie, wskoczyliśmy na rowery i pognaliśmy przez Odrzykożuch do Łopuchówka, by skryć się w gęstwinie prastarej puszczy i całą noc obserwować zwyczaje żywieniowe borsuków.

Tak, ciągnęło nas do przyrody, do przygody i tylko kwestią czasu było, kiedy Tadeusz wlezie na stół, ściągnie z najwyższej półki atlas świata, rzuci na śnieżnobiały obrus zakurzone tomisko o kartach poszarpanych przez gryzonie, otworzy, odgarnie mysie bobki, wskaże mapę Ziemi i zawoła:

– Spójrz, Leonie! – Na jego twarzy błądził jakże dobrze mi znany szelmowski uśmiech. – Tyleśmy lektur przeczytali, tylu mądrości wysłuchali... a co wiemy o świecie? Co myśmy widzieli? Trzeba choć raz zobaczyć te gąszcze, urwiska i śmiercią ziejące topiele... trzeba choć raz utonąć w bezmiarze pustyni lub gdzieś na krańcach świata zgłębić nieskończoność ścieżek, by pojąć czym jest świat!

– No... trzeba. – Zgodziłem się.



– Co byś powiedział na wyprawę? Ale nie na podglądanie starych borsuków. Taką bardziej wokół świata!

Myśl by zarzucić plecak na ramię i ruszyć w nieznane wydawała mi się niegłupia. Do głowy mi wówczas nie przyszło, by spytać, co będziemy jeść, gdzie spać i czy ludożercy nie wrzucą nas do kotła.

– Weźmy życie za bary! Objedźmy świat dookoła!
– Gorączkował się Tadeusz. – Będziemy jak Magellan, który opłynął Ziemię!

– M-hmmm... Magellan nie dokończył swojej wyprawy. – Przypomniałem nieśmiało. – Zaciukali go po drodze.

– Żartujesz! – Przyjaciół zmarszczył brwi i pochylił się nad mapą. – Jak mogli! To był taki... wspaniały... żeglarz... – Zamaszystym ruchem wyrwał kartę, złożył na czworo i.... podał mi zwitek papieru.

– Schowaj dobrze – szepnął. – Historię piszą zwycięzcy. Będziemy lepsi. Okrążymy świat... i nikt nas nie ukatrupi.

Taki właśnie był Tadeusz. Gdy coś postanowił, nic (nawet trup słynnego Magellana) nie było w stanie go zniechęcić.

A czy zawsze realizował swoje szalone pomysły?

Z tym, sami się przekonacie, bywało już bardzo różnie...



ROZDZIAŁ DRUGI, W KTÓRYM WSPOMINAM BABCIĘ, PAKUJĘ PLECAK... I RUSZAMY

Wywlokłem spod łóżka plecak. Był stary. Połatany, poplamiony i pokryty kołtunami kurzu. Swego czasu należał do mojej babci. Kładła go na kuchennym stole, otwierała i, niczym baśniowa wróżka, wydobywała z wnętrza rozmaite skarby. Słoiki z kompotem gruszkowym, ciepłe jagodzianki albo stare skarpety, które wieczorem specjalnie dla mnie zacerowała.

Plecak wciąż pachniał jagodziankami i skarpetami. Zapach obudził wspomnienia. Poczułem, jakby siwa niczym gołąb staruszka stała znów nade mną i kiwając głową pouczała: „Wnusiu, pamiętaj, gdy wychodzisz z domu, choćbyś szedł do sąsiada po rolkę papieru, weź z sobą sznytkę chleba. Człek nigdy nie wie, kiedy go zassie w żołądku.”

„Dobrze, babciu” – pomyślałem.

Spakowałem bochenek razowca, trzy słoje kiszonych ogórków, kilogram jabłek i powidła śliwkowe. Na wierzchu ułożyłem aluminiowy rondel, łyżkę, aparat fotograficzny, zeszyt w linie, ołówek, szczotkę do zębów, kalessony, koc i trzy zmiany bielizny. Byłem gotów.



Nazajutrz, 11 września 1926 roku, zjadłem jajecznicę z pięciu jaj na cebuli i boczku, trzy skiby chleba z masłem oraz dwa plastry leberki¹. Chwyciłem plecak i pomaszerowałem na dworzec kolejowy.

Nitki babiego lata snuły się i połyskiwały w słońcu. Dozorca w zielonej katanie zamiatał pierwsze jesienne liście. Młodociany gazeciarz zamachał papierową płachtą.

– „Hiszpania wystąpi z Ligi Narodów!”. Kurier Poznański! Wydanie poranne! Tylko dziesięć groszy! – wykrzyczał.

– Dziękuję. – Pokręciłem głową. Nie chciałem marnować dziesięciu groszy na gazetę z wczorajszymi

¹ Leberka – w gwarze poznańskiej pasztetowa.

wiadomościami. Myślałem już o jutrze. Oczyma wyobraźni widziałem tropikalne wyspy, lodowce, spienione rzeki, krokodyle, słonie i wieloryby... które gdzieś tam na mnie czekały. Przebierały nogami. Bardziej niż o Hiszpanię i Ligę Narodów, martwiłem się o siebie i co zrobię, gdy na krańcu świata, w samym sercu dżungli, stanę oko w oko z tygrysem.

– Uoarrrrr!!! – wydarł się ktoś tuż za moimi plecami.

Oczywiście był to „wyższy o głowę drab w drucianych okularach”. Na ramieniu miał płócienny plecak, poplamiony i połatany, identyczny jak mój.

Bez słowa przybiliśmy piątkę i wskoczyliśmy do wagonu trzeciej klasy.

Szarpnęło, zgrzytnęło, pociąg drgnął.

Gwiiiiiiiiiiiiiiiiiiiizzzzzzzzzzzzzzzzzzzzd...!!!

Tuk-tuk... tuk-tuk... tuk-tuk...

Uliczne latarnie, dorożki, tramwaje, parki, fontanny i place zabaw. Stogi siana na łąkach, krowy na pastwiskach, brzozowe gaje, przydrożne jabłonki... sielskie obrazki migały za oknem. Coraz szybciej.

– Jedziemy, Leonie! – Tadeusz rozkroił bochenek, szturchnął mnie łokciem, podał pajdę i rzekł z uśmiechem: – Jedz póki świeży. Moja babunia mawiała „nigdy nie ruszaj w świat na głodniaka”.

– To coś podobnie jak moja – odparłem.

Urwałem kęs chleba i – pyk! – otworzyłem słoik z ogórkami. Odłożyłem koper i chrzan. Schrupałem pierwszego ogórka i podsunąłem słój Tadeuszowi.

Tuk-tuk... tuk-tuk...

Poznań oddalał się z każdą minutą, a przybliżały tajemnicze egzotyczne lądy.

Gdybyście spytali wówczas, po cośmy jechali, najpewniej niczego mądrego byśmy nie odparli. Beztrosko wsuwaliśmy chleb i chrupaliśmy ogórki. Gdzieś tam hen daleko szeroki świat szykował się na nasze przybycie. A babcie uśmiechały się w zaświatach dumne, że wnuki wzięły sobie ich słowa do serca.

Tuk-tuk... tuk-tuk... tuk-tuk...



ROZDZIAŁ TRZECI, W KTÓRYM BYŁOBY KIEPSKO, GDYBY NIE RUDY JULAS

Z początku szło nieźle, jak po maśle. Dojechaliśmy do portu w Gdyni. Wskoczyliśmy na prom, wypłynęliśmy na Bałtyk, pomachaliśmy latarni morskiej na Rozewiu na pożegnanie, a nazajutrz bladym świtem dobiliśmy do szwedzkiego portu Malmö. Siedliśmy na parkowej ławeczce, otworzyliśmy i opróżniliśmy drugi słoik kiszonych ogórków.

Wysypałem na dłoń zawartość kieszeni, przeliczyłem gotówkę i dosłownie poczułem, jak ciężkie deszczowe chmury gęstnieją nad naszymi głowami.

– Ledwie zaczęliśmy wyprawę, a już nam się bejmy² kończą – oznajmiłem ponuro. – Naprawdę niewiele mamy...

– Tyle mamy. I tyle nam wystarczy! – Przerwał mi Tadeusz. – Nie zawrócimy, Leoś. Weźmiemy się do roboty i zarobimy pieniądze. Na pewno ktoś tu w Szwecji czeka na dwóch takich, jak my zuchów...

Spojrzeliliśmy na siebie i w jednej chwili, jakby nas olśniło, wspomnieliśmy Rudego Julasa.

Kim był Rudy Julas?

Otóż mieliśmy w szkole kolegę, nieuleczalnego gadułę, który potrafił godzinami snuć niestworzone gawędy o tym, że jego wujowi rosną włosy na plecach albo że pies sąsiada zjadł na kolację placek z rabarbarem.

– Gdybyście byli kiedyś w Szwecji – tłumaczył nam któregoś dnia na szkolnym boisku – odwiedźcie koniecznie panią Nilson. Mieszka na Möllevångsgatan 14 w Malmö. To kuzynka przyjaciółki mojej ciotki. Jej mąż ma fabrykę. Produkuje trumny, kołyski i wózki dziecięce. Zbił fortunę. Gdybyście byli w potrzebie, walcie jak w dym, na pewno wam pomoże. Powiedźcie tylko, że przysłał was Rudy Julas.

I oto, po latach, nastąpiła ta właśnie chwila. Byliśmy w potrzebie... w Malmö... i na dodatek zaczynało padać!

Stanęliśmy na ganku okazałej rezydencji na Möllevångsgatan 14. Przez dobry kwadrans gapiliśmy się na ciężkie dębowe drzwi moknąc w rześistym deszczu. W końcu, gdy woda z kapelusza wlała mi się za kołnierz, podszedłem i nieśmiało zapukałem.

² Bejmy – w gwarze poznańskiej pieniądze.

Otworzył pan Nilson we własnej osobie, mąż kuzynki... przyjaciółki... ciotki... naszego szkolnego kolegi.

– Co się dzieje, dzieciaki? – spytał.

Uprzejmie wyjaśniliśmy, co nas sprowadza.

– Rudy Julas? Nie kojarzę. – Zakłopotany gospodarz podrapał się po tłustym karku. – Jedźcie do Barsebäckshamn. Znajdziecie tam moją żonę. Może ona zna tego całego... Julasa.

„Może zna”, powtórzyliśmy w myślach. Kupiliśmy bilety na autobus i pojechaliśmy do Barsebäckshamn.

Żona pana Nilsona, elegancka dama o kręconych włosach i szczerzonym sercu, posadziła nas na sofie przy kominku i podsunęła talerz pełen ciasteczek cynamonowych z konfiturą z malin.

– Z Polski! Jakie to słodkie! Częstujcie się, chłopcy. Opowiadajcie!

Wysłuchiwała nas, cały czas mizając spasego kocura, który rozsiadł się na jej kolanach.

– O żadnym Julasie nigdy nie słyszałam, tym bardziej Rudym. – Potrząsnęła głową, gdy skończyliśmy. – Ale mam myśl! Spytaście o pracę w tartaku pana Timella w Örnköldsvik. To wyśmienity pomysł!

Lepszego nie mieliśmy. Kupiliśmy bilety na pociąg i pojechaliśmy tysiąc kilometrów na północ, do Örnköldsvik.

Gdy umęczeni i zziębnięci dotarliśmy na miejsce, sympatyczny pan Timell poczęstował nas herbatą z miodem, po czym oznajmił:

– Niestety zatrudnić was nie mogę. Ale jedźcie do Matfors nad jeziorem Väster Rännöbodsjön. Pytajcie tam o Ottona. Stary dobry Otton ma fabrykę papieru, na pewno coś dla was znajdzie.

Dopiliśmy herbatę, ukłoniliśmy się i, życząc Rudemu Julasowi, by mu ość w gardle stanęła i wszy pościel oblażyły, wydaliśmy cały nasz bilon na kolejny bilet, do Matfors nad jeziorem Väster Rännöbodsjön.

„Stary dobry Otton”, właściciel fabryki papieru, wysłuchiwał nas z kamienną twarzą. Gdy skończyliśmy, milczał długą chwilę, pogłodził się po łysej czaszce, westchnął ciężko i oznajmił:

– W życiu nie słyszałem podobnej historii. Ale skoroście przyjechali, pracujcie. Będziecie rozkręcać i smarować maszyny w mojej fabryce. Dam wam 77 groszy za godzinę. Pasuje?

– Pasuje, panie Ottonie kochany! – zawołaliśmy.
– Gdzie te wihajstry? Zaraz je panu rozkręcimy!!!

Tak to Rudy Julas, kolega ze szkolnego boiska, pomógł nam znaleźć pierwszą robotę w podróży dookoła świata. Nie wiem, naprawdę nie wiem, jak my byśmy sobie poradzili bez tego gościa.



Dni w Matfors płyną szybko.
Po trzech miesiącach ciężkiej pracy odkładamy dość grosza, by ruszyć dalej.
Żegnamy pana Ottona, zakładamy narty i kierujemy się na południe, ku granicy z Norwegią i dalej, do Trondheim, prądawnej stolicy wikingów.





ROZDZIAŁ CZWARTY, W KTÓRYM PIERZEMY MARYNARSKIE GALOTY

Skryte pośród norweskich fiordów Trondheim skrzyło się lodem w grudniowym słońcu. Na ulicach rozbrzmiewała kolęda *Glade jol, heilage jol*.

Wielkimi krokami zbliżało się Boże Narodzenie.

– Spójrz, Leonie! Ten statek zabierze nas na południe, jest idealny! – zawołał Tadeusz.

Przykurzony, okopcony i podrdzewiały parowiec o nazwie Inger nie wydawał mi się ani trochę idealny. Kapitan z sumiastym wąsem i fajką w zębach, jak na mój gust, też do ideałów nie należał. Wydawał się jakiś naburmuszony.

– Dzień dobry – zawołałem wesóło. – Wzięłby pan na pokład dwóch dzielnych chłopaków w podróż dookoła świata?

– Nie – odparł kapitan i spochmurniał jeszcze bardziej.

– Dlaczego? – spytałem.

– To statek towarowy. Ładujemy drewno. – Wycedził. – Pływam po tych morzach od czterdziestu lat. Nigdy nie wziąłem na pokład pasażerów. I nigdy nie wezmę.



– A kto mówi o pasażerach? – Oburzył się Tadeusz. – My, drogi panie, sroce spod ogona nie wypadliśmy. Żadnej roboty się nie boimy. Możemy ładować węgiel do kotłów, zmywać gary, czyścić pokład z glonów...

Stary wilk morski wyjął fajkę z ust, uniósł wzrok i przyjrzał się nam badawczo.

– Prać umiecie? – spytał.

– Wypierzemy wszystko, obrusy, firany, prześcieradła, nawet marynarskie galoty, jak będzie trzeba. – Rozpędził się Tadeusz.

– No czasem trzeba. – Kapitan wskazał fajką trap prowadzący na pokład. – Ładujcie się! Dokoła świata, dobre sobie... – prychnął jeszcze pod wąsem.



Tuuuu!!! Odezwała się syrena.

Rzucili cumy.

Zawirowały śruby okrętowe.

Błysnęły latarnie morskie na pożegnanie.

Ruszyliśmy przez Morze Północne ku Francji.

Ledwie wypłynęliśmy na szerokie wody, trochę, by dotrzymać danego słowa, trochę z obawy, by chmurny pracodawca nie posłał nas za burzę, zakasaliśmy rękawy. Zmywaliśmy, czyściliśmy, sprzątaliśmy. Uwijaliśmy się jak mrówki.

Z dnia na dzień kapitan spoglądał na nas coraz łaskawszym okiem, a gdy zabraliśmy się za pranie marynarskich majciochów, podszedł, uśmiechnął się i poklepał nas po plecach.



W wigilijny wieczór siedliśmy wszyscy w kantine. Na morzu szalał sztorm. Fale biły z grzmotem o burty. Deszcz ze śniegiem chłastał o szyby. Bujało statkiem na wszystkie strony. Jabłka i orzechy kulały się po świątecznym obrusie. Przywieszony do choinki aniołek to wzlatywał pod sufit, to nurkował z pluskiem w wazie z barszczem.



– Wesółych Świąt, chłopaki! – zawołał kapitan. – Przyglądam się wam i coś mi mówi, że się wam może udać. – Uśmiechnął się i przyglądził węża.

– Co takiego może nam się udać? – spytałem.

– No, że okrażycie ten świat tak, jak to sobie umyśliliście.

– Dlaczego pan tak... – Chciałem dopytać... ale w tej właśnie chwili marynarze zaryczeli:

Glade jol, heilage jol! Englar kjem frå Guds kongestol...

Przyłączyliśmy się z Tadeuszem i zaśpiewaliśmy razem z nimi, ale po polsku.

Pokój niesie ludziom wszem...

I wtedy, wśród wichrów i fal, w otoczeniu norweskich marynarzy, poczułem się jak w domu.





W Paryżu, stolicy Francji, fotografujemy się ze słynną wieżą Eiffla.

– Całe życie o tym marzyłem. – Wzdycha wzruszony Tadeusz.

I gdy już spełniamy jego marzenie, obieramy kurs na Pin Sec, wioseczkę nad Oceanem Atlantyckim, gdzie czeka na nas robota oraz spiżarnia wypełniona puszkami z wołowiną w sosie własnym.

Robota tyleż prosta, co nudna. Wszystkie ścięte pieńki mamy pozbawić gałęzi i kory. Siekierka w dłoń, zyk, zyk, zyk...



Pieniek za pieńkiem. Dzień za dniem. Od rana do wieczora. Zyk, zyk, zyk...

Tyle o robocie.

A puszki z wołowiną w sosie własnym?

To już zupełnie inna historia.



ROZDZIAŁ PIĄTY, W KTÓRYM POZBYWAMY SIĘ GARNKA I DOSTAJEMY KROWI GNAT

Zamieszkaliśmy w podszytej wiatrem chatynce nad brzegiem Zatoki Biskajskiej. Romantycznie.

Wieczorami sztorm walił w wydmy spienioną kipiela. Wicher gnał po ołowianym niebie ciężkie chmurzyska, a my grzaliśmy się przy ogniu, wyciągaliśmy drzazgi z paluchów, rżnęliśmy w karty albo tłukliśmy grzebieniami w cymbergaja. Życie było piękne.



Jedyne, na co moglibyśmy narzekać, to wołowina w sosie własnym. Kompletnie pozbawiona smaku i twarda jak podeszwa. Żuliśmy ją godzinami, nim dała się przełknąć.

Któryś wieczora Tadeusz poderwał się z krzesła, cisnął w kąt pustą puszkę i grzmotnął pięścią w stół.

– Obmierzło mi to żarcie. Mięcho uszami mi wylazi. Dość! Koniec z wołowiną w sosie własnym. Od jutra biorę się za gotowanie. – Oświadczył.

Złożyłem dłonie do oklasków i zacząłem bić brawo.

Tej nocy sztorm ustał, a poprzez chmury wyrżał kraglutki księżyc. Znak niechybny, że idzie nowe.

Z samego rana Tadeusz wzuł gumowce i udał się do wiejskiego sklepiku na zakupy. Wrócił po godzinie. Rzucił plecak i z nieskrywaną dumą oznajmił:

– Kupilem mąkę, cukier, groch, solone śledzie i ogórki.

– I... co... zamierzasz upitracić?! – spytałem zaciekawiony.

– Stopię cukier na karmel. Ogórki obsmażę w słodkiej panierce, nadzieję je farszem śledziowym i gotowe! Wieczorem zapraszam na „korniszony palce lizać à la Perkitny”!

Cały dzień, podczas gdy ja siekierką zyk, zyk, zyk... Tadeusz uwijał się w kuchni, a smakowite zapachy niosły się, jak wybrzeże Francji długie i szerokie.

Gdy w porze obiadu umęczony i wygłodniały stanąłem w progu naszej chatki, zastałem obrazek cokolwiek niezwykły. Tadeusz, zlany potem, w fartuchu upapranym śledziami, z włosami sztywnymi od cukru zdejmował z pieca i dźwigał do jadalni wielgachny rondel. Tuż za nim dreptał kulawy wyżeł, za nim łysiejący jamnik, łaciaty kundel i trzy wyliniałe kocury. Zwierzaki siadły wokół stołu i wpatrywały się w garniec zamiatając podłogę ogonami.

– Zobacz, kejtry³ i kociambry⁴ się zlazły! – zawołał kucharz. – Aż im ślinka cieknie! Mi zresztą też. Siadaj, Leonie! Oto „korniszony palce lizać à la Perkitny”! Bon appetit! – Zamaszystym ruchem uniósł pokrywę gara i zastygł w bezruchu.

Z wnętrza naczynia wydobył się gęsty kłęb czarnego dymu. Słodko-kwaśny swąd wypełnił chatę. Mrugając oczyma, zatykając nos jedną dłonią, rozgarniając chmurę drugą, zbliżyłem się ostrożnie do garnka i zajrzałem do środka.

– W życiu nie widziałem czegoś tak obrzydliwego – wyszeptalem na widok kleistej mazi pokrytej oślizłym kożuchem.

Psy i koty, jak na komendę, odwróciły się i z obrażonymi pyskami wymaszerowały na dwór.

– Troszkę się przypaliło? – spytał Tadeusz zerkając mi przez ramię. – Może otworzę konserwę z wołowiną? – zaproponował nieśmiało.

– Ja otworzę – odparłem ponuro. – A ty, kucharzu od siedmiu boleści, idź w las, wykop dół, byle głęboki i wrzuć do niego swoje „korniszony”. Razem z garnkiem! A nie zapomnij przysypać ziemią i kamieniami!

Wziął garniec, chwycił szpadel i zrobił dokładnie, jak mu poradziłem.

³ Kejter – w gwarze poznańskiej pies.

⁴ Kociamber – w gwarze poznańskiej kot.



Głęboką nocą, pośród kompletnej ciszy, stuknęło coś o drzwi chaty. Szczeknęło i zatupotało.

Poderwaliśmy się z łóżek i wyjrzelіśmy na zewnątrz.

Cisza. Na ganku nikogo. Ujrzałem podłużny przedmiot na wycieraczce. Biełił się w świetle księżyca. Schyliłem się i podniosłem znalezisko. Była to sucha i twarda jak kamień... bydlęca kość. Pachniała ziemią.

– Któryś z kejtrów przyniósł nam frykasa ze swojej spiżarni – stwierdziłem.

– Wyśmienicie! – ucieszył się Tadeusz i wyrwał mi kość z ręki. – Jutro odkopię garnek i ugotuję w nim rosół. To będzie „zupa na krowim gnacie palce lizać à la Perkitny”!

Tak, taki właśnie był Tadeusz. Nigdy, ale to przenigdy, się nie poddawał.



21 marca 1927 roku żegnamy podszytą wiatrem chatynkę na północy Francji i ruszamy na południe, do słonecznej Nicei nad Morzem Śródziemnym.

Wieczorem stajemy na plaży i spoglądamy na pomarańczowe słońce tonące w rozfalowanych wodach. Łagodne fale szemrzą cicho, jak gdyby przemawiały do nas w swoim tajemnym melodyjnym języku.

– Słyszysz, Leonie, drogi druhu? To poprzez ocean wzywa nas Ameryka – mówi Tadeusz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY, CZYLI OPOWIEŚĆ O SARDYNKACH W FORTEPIANIE

– To chyba jakieś przedszkole...

Barwne wymalowane na drzwiach literki układały się w napis „WESOLUCHNE BOBASIAŃKA”.

Zapukałem nieśmiało. Jak na zawołanie w progu stanęła progu sympatyczna pani w kraciastym fartuchu i olbrzymich okularach na nosie.

– Zosieńka Klekota. – Przedstawiła się. – Szukacie kogoś, mili panowie?

– Szukamy roboty. Niech by była ciężka, byle zarobić nieco grosza. – Wyjaśnił Tadeusz.

– Zbieramy na bilety do Ameryki. – Dodałem.

Zmarszczyła brwi i spytała:

– A dalibyście radę z moim przedszkolaczkami?

– Pewnie! – wykrzyknął Tadeusz. – Sam byłem kiedyś przedszkolakiem!

Zosieńka Klekota rozpromieniła się i zaprosiła do środka. Śmiem twierdzić, że jeśli dziś wspomina tamten dzień, klnie niczym dorożkarz w deszczowy poranek.



Z początku nic nie zapowiadało katastrofy. Wręcz przeciwnie. Z pełnym poświęceniem wzięliśmy się do roboty. Zamiataliśmy chodnik, roznosiliśmy gorące kakao, wydrapywaliśmy przypalony sos z garnków, przede wszystkim zaś niańczyliśmy watahę psotnych „bobasiątek”.

Szło nam nieźle, a nawet z dnia na dzień coraz lepiej i być może wszystko dobrze by się skończyło,

gdyby pewnego feralnego ranka Tadeusz nie wpadł na pomysł, by urządzić rajd samochodowy. Jedynym meblem na kółkach był fortepian, usadził więc na nim siódemkę dziewczynek, dziesiątkę chłopców, i ruszył, hajda!, dookoła salonu.

Brum, brum, tiiiit... Brrruummmm... tiiiit!

Przyznaję, bawiliśmy się pysznie... do chwili, w której chłopczyk w kraciastych spodenkach zrobił się błądy na twarzy, a zaraz potem zielony. Przytknął paluszek do buzi i wyseplenił:

– Gołaco... niedobrze... bede zygał.

Tadeusz w mgnieniu oka zatrzymał rozpędzony fortepian.

– Koniec wyścigów, rojbry⁵! – Ogłosił. – W aucie skończyła się benzyna!

Chwycił malca pod pachę i popędzili do toalety. Ledwie trzasnął drzwiami, poczułem, że ktoś szarpie mnie za nogawkę. Dziewczynka w złotych warkoczykach wpatrywała się we mnie błękitnymi oczętami.

– Siku... – szepnęła przebierając nóżkami.

Toaleta była zajęta, wziąłem więc małą na barana i pogałem schodami do ogrodu. Postawiłem dziewczynkę na trawniku i wskazałem krzaczki. Wtem poprzez otwarte okna poniosło się rozpaczliwe wołanie:

– Leeeoon! Raaatuuuj!!!

To był głos Tadeusza. Kolega potrzebował pomocy. Chwyciłem złotowłosa, usadziłem na karku i pogalopowałem z powrotem.

W samym centrum bawialni, niczym gigantyczny bąk, wirował Tadeusz z uwieszonymi u ramion przedszkolakami. Wyglądałoby to na niewinne swawole, gdyby nie pełne przerażenia spojrzenie Tadeusza i wrzask dzieciaków: BENZYYYY-NA NALAAAA-NA! BENZYYYY-NA NALAAAA-NA!

– Co tu się od...!

I wtedy... mój wzrok padł na fortepian. Czarny lśniący instrument wypełniała gęsta maź, w której pływały lśniące rybki... brzuskami do góry. Obok, na podłodze, leżała pusta beczka po sardynkach w oliwie.

– BENZYYYY-NA NALAAAA-NA! BENZYYYY-NA NALAAAA-NA!

– Czorty przytaszczyły z kuchni beczkę sardynek i... zatankowały fortepian... – podsumowałem.

– No to był moment! Minuta! – wystękał przyjaciel.

⁵ Rojber – w gwarze poznańskiej łobuziak.

– Siku! – przypomniała siedząca mi na karku dziewczynka. – Siku! Siku!! – powtórzyła płaczliwie.

Racja! Kompletnie o niej zapomniałem...

Odwróciłem się, ruszyłem w stronę toalety i stanąłem jak wryty. Na naszej drodze jak spod ziemi wyrosła Zosieńka Klekota z trzepaczką do dywanów w dłoni.

– Co tu się wyrabia? Co za wrzaski? Jaka nalana?...

Gdy jej wzrok padł na fortepian, wielkie oczy za okularami zrobiły się dwa razy większe. Trzepaczka upadła na podłogę.

– Bajdzio, bajdzio siku – pisnęła cicho raz jeszcze, po raz ostatni, siedząca mi na karku złotowłosa.

Co było dalej?

Nie pytajcie, proszę. W tym miejscu zakończę opowieść o „Wesoluchnych Bobasiątkach”.



Sromotna porażka, którą ponieśliśmy w przedszkolu Wesoluchne Bobasiątka, nie podcięła nam skrzydeł. Właśnie zaczynamy pracę w luksusowym hotelu Polonia. Od dziś jesteśmy ogrodnikami.

– Z krzaczorami pójdzie łatwiej. – Stwierdza Tadeusz. – Mam przynajmniej taką nadzieję. – Dorzuca po chwili. Chwyta sekator i bierze się do roboty.



ROZDZIAŁ SIÓDMY, CZYLI OPOWIEŚĆ O MOKREJ POŚCIELI HRABIEGO

Ogrodnictwo... robota marzeń!

Wyobraźcie sobie tylko: o poranku meldujemy się w hotelowej stołówce i spożywamy śniadanie, a potem, otarłszy pyski, obchodzimy hotelowe trawniki, zagłębiamy się w świeże kretowiska i gromkim pohukiwaniem przeganiamy podziemnych mieszkańców. W południe rozkładamy parasole i osłaniamy krzewy róż przed palącym słońcem. Popołudniami z miotłą w dłoni odkurzamy znajdujące się przed bramą wjazdową kaktusy.

Tak, tak było. I być może wszystko dobrze by się skończyło, gdybym pewnego feralnego ranka nie wpadł na pomysł, by podlać agawy rosnące wzdłuż hotelowych okien. Chwyciłem sikawkę i, jako że susza była jak smok, podlałem wszystko obficie. Nie wiedziałem, bo wiedzieć nie mogłem, że okno jednej z sypialni było otwarte. Bardzo szeroko otwarte.

Krótko przed obiadem, gdy przycinałem nożyczkami żywopłot, a Tadeusz przesuwiał grabiami zeschnięte palmowe liście, rozległo się przed bramą donośne „ijooo!... ijooo!... ijooo!...”. Ambulans zatrzymał się z piskiem opon na podjeździe. Z wnętrza pojazdu wyskoczył lekarz, w ślad za nim wychylna pielęgniarka. Oboje pokłusowali w kierunku recepcji.

– Któryś z gości zasłabł – stwierdził Tadeusz. – Nic dziwnego, garówa⁶ niemożliwa – podsumował, otarł pot z czoła i skupił się znów na grabieniu.



Krótko przed kolacją kierownik hotelu wezwał nas do gabinetu. Gdy stawiliśmy się na dywaniku, łypnął spod zmarszczonych brwi i spytał surowym tonem:

– Macie coś na swoje usprawiedliwienie?

– Ależ... my nic... tego... ten... – wybąkałem poszukując w myślach jakiegokolwiek postępu, o który mógłby mieć pretensje.

– Czy to żart?! – przerwał kierownik, wstał i wyciągnął spod biurka ociekające wodą prześcieradło. –

⁶ Garówa – w gwarze poznańskiej upał.

Hrabia Con Piselli, nasz szacowny gość, przebudził się w południe i zastał łóżę bardziej niż zazwyczaj, jak sami widzicie, wilgotne. Przekonany, że we śnie zmoczył pościel, wezwał lekarza. Doktor przybył bezzwłocznie. Przebadał pacjenta na siedem różnych sposobów. Sprawdził szlafrok, ręczniki, pościel oraz nocniki. W końcu wyjrzał przez okno, obejrzał agawy rosnące wzdłuż hotelowego muru i...

– Wiem! – przerwałem. – Ja chyba wiem, co powiedział – westchnąłem, kiwając głową. – Tak. Jestem winny. Przyznaję się. To ja dziś rano zmoczyłem pościel hrabiego.

Tadeusz rozdziawił usta, wytrzeszczył oczy i spojrzał na mnie osłupiały. Byłem pewien, że wścieknie się i zwymyśla mnie na czym świat stoi. Ale nie. Nie odezwał się słowem. Przygryzł wargę. Spojrzał w sufit. Zakrył usta dłońmi. Zgiął się wpół i wybuchnął śmiechem tak donośnym, że musieli go usłyszeć w całym hotelu.

– Bu-ha, ha, ha! Podlałeś hrabiego!!! Ha, ha, ha! – Dosłownie skręcał się ze śmiechu. – Zimny prysznic! Nie mogę! Ha, ha, ha! Podobno po deszczu grzyby rosną! To może i hrabia urośnie. Ale by się jaśnie pani hrabina zdziwiła! Ha, ha, ha! – Zdjął okulary i rękawem wytarł łzy z oczu. – A ja... a ja... ja się zastanawiałem, w co ty tak celujesz tą swoją sikawką. No i proszę, strzelec wyborowy! Trafiał w samo okienko! Ha, ha, ha!

Patrzyłem, jak się wydurnia, wygina na wszystkie strony, słuchałem, jak krztusi się i parska. W końcu nie wytrzymałem. Też się uśmiechnąłem.

– Ha, ha, ha! Nie obraż się, Leoś, ale w życiu nie widziałem, żeby ktoś przed śniadaniem lał tak długo, jak ty dzisiaj. Od dziś nazywam cię Leon-podlewacz. Ha, ha, ha! – ryknął znów Tadeusz, a ja razem z nim. Rechotaliśmy obaj tak zaraźliwie, że kierownik hotelu też w końcu wziął się pod boki, zachichotał, a po chwili... rżał z nami jak stary koń.

– Dobrze. Naprawdę dobre. Hłe, hłe, hłe. – Usiadł za biurkiem, machnął ręką, jakby chciał odegnąć natrętne komary i rzucił: – Zwalniam was, panowie. Podlewacz... Hłe, hłe... hłe, hłe...

W taki oto sposób, z żalem, ale na wesoło, zakończyliśmy naszą karierę hotelowych ogrodników.



Markotni i zrezygnowani spoglądamy w zadumie na pomarańczowe słońce tonące w rozfalowanych wodach.

– Przeliczyłem oszczędności – odzywam się. – Wydamy wszystko na bilety na rejs czwartą klasą do Brazylii i znów zostaniemy bez grosza.

– Płynmy już do tej Ameryki – wzdycha Tadeusz. – Czuję, że tam wreszcie dopisze nam szczęście.

„Oj, dopisze... już się nie mogę doczekać”, uśmiecham się w myślach.



CIĄG DALSZY NASTĄPI

